



Tysiące sztucznych ogni, feeria najbarwniejszych rakiet pękających na nieboskłonie, hejnały fanfar — obwieściły Berlinowi tuż przed szóstą rocznicą powstania demokratycznego magistratu miasta — olbrzymia, o otwarciu tradycyjnego świątecznego kłemaszu.

Ze Szwecji, Danii i innych krajów zapowiedziano specjalne wycieczki, które zwiedzą przede wszystkim plac Marksa — Engelsa; tam właśnie rozprzestrzenił się ten olbrzymi kłemasz.

Gdy tylko zmierzch zapada tysiące lamp i reflektorów zamieniają nadbrzeże Szprewy w bajkowy ogród. Dominuje w nim olbrzymi 26-metrowy świerk oświetlony bogato i barwnie aż po wierzchołek. Radośnie kierują się nań oczy, zwłaszcza dzieci, które pojąć nie mogą, że przed 80 laty świerk ten był małym drzewkiem, gdzieś w lasach Tu rylli.

Ręce artystów sprawiły, że na wielkiej scenie wyrósł prawdziwy las, w którym to przebiegał z koszykiem w ręku zjawia się Czerwony Kapturek.

Napisał:
MANFRED HOCKE

fenigów może wygrać nawet 10 tysięcy marek; więc też sprzedawcy nawet zachwalać nie potrzebują świątecznej tom boli.

Gdzie tylko ruszyć się, natopkać można Dziadka Mroza w czerwonym, obszernym płaszczu, w białej czapce i z długą, siwą brodą. Napęczniały wór na plecach wygląda bardzo oblecucjąco, toteż cisną się do „Dziadka” najmłodsi, a i starsi poddają się pokusie zerknięcia do wypchanego wora.

Beztroska włóczęga jest tak czarująca, że zapomina się o zmęczeniu. Ale gdy głodny żołądek zaczyna się domagać swych praw, kieruje człowieka swe kroki do... „hamburskiego portu”. Tak bowiem nazywa się wielka przystań nad Szprewą. W jej dokach kołyszą się 4 wycieczkowe parowce zamienione w wytworne restauracje.

Dla słabeuszów, którzy odczuwają kołysanie rzecznych fal jak morską burzę, przygotowano kolejowe wagony restauracyjne „MITROPY”, cie-

Berlina: 9000 chłopców i dziewcząt, w tym 6000 tych najmniejszych zaprosił magistrat demokratycznego sektora na zabawę i słodycze. Dziadek Mróz aż się ugiął pod ciężarem zabawek i upominków dla najmilszych gości, których bezrobotni rodzice (a tylko ich dzieci zaproszono) nie mogą zapewnić swym pociechom chociaż najmniejszej radości świątecznej.

Każdy wchodzący na teren kłemaszu musiał się u wejścia natknąć na gigantyczny napis z dwumetrowych świec jarzeniowych. A napis głosił: gwiazdka pokoju 1954. Słowa, które są wolą wszystkich ludzi dobrych serc.

Tłumaczył: t. h. n.

Ze starych szpargałów

List miłosny

„Służba ma naprzoth wstawiana, doskonała, przesprzestna, panno ma namileyszą. Gdy chozałem nasłuszba otezebę yachacz precz, przyalem do domu thwego, czebye zegnayoncz; dzywne rzeczy, wmyloszczy bendocz, poczyolsszą medzy nama, thocz gesth, aby mne nezapomynala, barzocem thewy myloszczy poczonl prosycz, athwa myloszczy namo proszba slubyla tho uczynicz...”

List ten pisał pewien za kochany młodzien z Szamotuł w roku 1429. Tyle w tych słowach gorącego serca, że nawet dzisiejsza panna — jeżeli doczytałaby do końca — na pewno nie odmówiłaby mu swej ręki...

Z rozprawy o wzroście

Andrzej Glaber z Kobylina w r. 1535 wydał „Gadki o składości członków człowieczych”. A że autor jest człowiekiem uczonym, postachajmy jego wywodów.

„U kogo wzrost będzie wysoki chudy i smagły, znamionuje głupiego, łgarza, próżnego, ku rzeczą pożądanym upornego, mgłego, y swego domniemania takowy bywa, nikomu na przed nie chcąc dać, iakoby nikt lepszy w rozumie nie był, iednak y fortuna takowemu niebarzo służy, acz sie czudnie stawia”

No — proszę — i kto by o to wszystko posadzał ludzi wysokich!

GAWĘDA o KARPIU

(Dokończenie ze str. 1)
na ryby...! „Dobrze w odmęcie (mętnej wodzie!) ryby łowić!” — czyli innymi słowami: „Łowić ryby w mętnej wodzie!”. „Wykaraśkać się...!” (wydobyć się z kłopotów). „We łbie — kiełbie!”

Wielki okaz karpia zwano dawniej „ćwiklem” i stał nazwa ta przylgła do ludzi o tęgich i obrotnych głowach.

Tak jak ostatnie przysłowie tłumaczy mądrość i przebiegłość karpia, podobnie powiedzenie: „posiada zdrowie jak ćwik”, uosabia wyjątkową żywotność i legendarną długowieczność tej ryby.

Spółród ryb piskorz był symbolem pańszczyźnianego ucisku w dawnej Polsce szlacheckiej. Z wiosną bowiem cała wieś zmuszona była naprawiać groble, bądź sypać nowe, wysadzać narybek — a jesienią znowu sieciami stawów obciągać i ryby własnymi podwodami do miast odwozić. Na koniec czekać łaski pana, aż ten obdarzy „rybim ogonem”. Stąd takie przysłowie jak: „Ubogiemu wszędzie piskorz!”. Mierna ta ryba była w tym okresie pokarmem pospólstwa i biedoty. Nie dziwny się więc gdy skarży się biedny zaczek z Akademii Krakowskiej, co z garnuszkiem chadzał po ludziach liściościwych i mawiał: „Piskorz się w mej kieszeni kręci!”



Lecz wróćmy do naszych współczesnych czasów, kiedy po zniszczeniach ostatniej wojny, nawiazaliśmy do bogatych tradycji w zakresie gospodarki stawowej i biorąc to, co było w niej słuszne i dobre, wprowadziliśmy jednocześnie nowoczesne i naukowe metody gospodarowania. Nasze gospodarstwa stawowe, obejmują obecnie obszar 65 tysięcy ha stawów, a główną rybą w nich

hodowaną jest karp-lustrzeń, inaczej zwany również karpem królewskim. Hodowlę prowadzą w nich państwowe gospodarstwa rolne, produkując olbrzymie masy karpioowego mięsa, które zaspokaja nie tylko zapotrzebowanie krajowe, lecz wystarcza również dla eksportu, przynoszącego w zamian cenę dewizy.

Zasady racjonalnej hodowli karpia stawowego opierają się na określonym dwu lub trzyletnim cyklu produkcyjnym; przy czym decydującą rolę odgrywa tu właściwe gatunkowe dobranie wyjściowego materiału zarybieniowego, dalej optymalne wykorzystanie przez ryby pokarmu naturalnego przy jednoczesnym stosowaniu intensywnie karmy sztucznej. Niepoślednią rolę w hodowli odgrywa również wysoka kultura stawów, jak: stan grobli, umiejętne opuszczanie zbiorników, dezynfekowanie oraz uprawianie dna stawów, właściwe zalewanie stawów, wykaszanie w nich roślinności twardej, a wreszcie terminowe przesadkowanie ryb. Owe racjonalne zabiegi prowadzą w rezultacie do uzyskiwania najwyższej wydajności karpioowego mięsa z jednego hektara powierzchni wodnej.

Teraz więc, gdy w dni świąteczne spożywać będziemy w kole rodzinnym jedno z ulubionych dań karpioowych, przyrządzonych troskliwymi rękoma żon i matek, wspomnijmy przez chwilę o trudzie naszych rybaków, technikach oraz uczonych, którzy gospodarują w naszych pięknych i żyznych wodach ojczyźstych, pomagając bogactwami narodowymi i dostarczając na nasze stoły, smacznych, zdrowych i pożywnych ryb.

Na zakończenie gawędy, niechże mi będzie wolno stwierdzić, że karp w plerńkowym sosie — jest jednak najsmaczniejszy...

MARIAN JAŚKOWSKI

Zapraszamy do dyskusji

Budujemy pomnik Mickiewicza ale jaki i gdzie?

Stoimy w progu Roku Mickiewiczowskiego. Setną rocznicę zgonu Adama Mickiewicza uczymy — w myśl apelu Świątowej Rady Pokoju — wszystkie narody miłujące pokój. Hołd jego pamięci odda cały postępowy świat kulturalny. W przygotowaniu są nowe przekłady dzieł A. Mickiewicza. Specjalny komitet obchodu pod auspicjami najwyższych czynników państwowych czuwać będzie nad licznymi imprezami poświęconymi pamięci nieśmiertelnego wieszczu w całym kraju.

Jedną z form upamiętnienia Roku będzie wzniesienie pomników Mickiewicza w kilku miastach. Wśród tych miast znajduje się Poznań.

A mieliśmy nie jeden, lecz dwa pomniki. Jeden mieścił się na dziedzińcu Poznańskie go Tow. Przyjaciół Nauk przy ul. Lampego, drugi zaś również dłuta Władysława Oleszczyńskiego, stał przy ul. św. Marcina (obecnie Armii Czerwonej) na placu przy kościele. Obydwa zniszczyli hitlerowcy.

Poznań jest miastem, które

może się chlubić, że pierwsze w kraju wzniosło pomnik Adamowi Mickiewiczowi, bo już w cztery lata po jego śmierci — w 1859. Dzieje wielkich manifestacji narodowych Poznania wiążą się z tym pomnikiem. Tu ogniskowały się pochody i demonstracje antypruskie. Spod stóp posągu padały płomienne słowa wiary w niepodległość Ojczyzny i wstrząsały powietrzem masowe śpiewy hymnu narodowego.

Po wyzwoleniu nieraz podnosiły się w naszym mieście głosy o potrzebie odbudowania zniszczonego pomnika. Obecnie zagadnienie to stało się szczególnie aktualne w związku z czym trzeba rozstrzygnąć kilka spraw.

Po pierwsze — sprawę lokalizacji pomnika. Gdzie ma stanąć pomnik, czy na dawnym miejscu, czy też na nowym? Niewątpliwie mały plac przy ul. Armii Czerwonej nie odpowiada temu celowi, ale przemawia za nim tradycja.

W kołach literackich i ar-

tystycznych Poznania mówi się o placu Stalina (w pobliżu Uniwersytetu); wskazuje się również na plac Wolności (naprzeciwko Biblioteki Raczyńskich).

Sprawa druga: czy ma być odbudowany posąg dłuta Oleszczyńskiego, czy też wyrzeźbiony nowy? Przeciwno odbudowaniu dawnego posągu przemawia brak dokumentacji. Nie zachowały się rysunki rzeźbiarza, zdjęcia zaś są bardzo niedokładne. Odtworzyć tego pomnika miewielki trudności prawie nie do pokonania.

I trzecie zagadnienie. Jeżeli ma stanąć w Poznaniu nowy pomnik Mickiewicza, to z jakiego okresu jego życia? Czy to ma być Mickiewicz z okresu pobytu w Wielkopolsce, czy młodzieńczy twórca „Ody do młodości”, czy też współpracownik „Trybuny Ludów”? (Trzeba tu zaznaczyć, że uchwycenie wyrazu postaci Mickiewicza nie jest łatwe. Według opinii jego syna, Władysława Mickiewicza, który w



Pomnik Mickiewicza w Paryżu — dłuta Antoine'a Bourdelle'a

okresie międzywojennym bał w kraju, żaden z pomników w Polsce nie odzwierciedla dobrze ani wyrazu twarzy, ani postawy właściwej sylwetce jego oca. Najbardziej wierną podobizną jest pomnik Mickiewicza w Paryżu, dłuta wielkiego rzeźbiarza francuskiego Bourdelle'a).

I jeszcze jedno — a mianowicie sprawa konkursu. Wiemy, że konkursy na pomniki Mickiewicza rozpisuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, lecz czy to ma być konkurs zamknięty, obejmujący określoną ilość artystów-rzeźbiarzy, czy też otwarty?

Nad tymi wszystkimi zagadnieniami otwieramy dyskusję, zapraszając do wypowiedzenia nie tylko przedstawicieli świata artystycznego, literackiego i architektonicznego, lecz każdego mieszkańca naszego miasta.



Rozpromieniona za bawą i niespodziankami, nie spodziewała się dziewczynka, że spotka prezydenta NRD, „dobrego Piecka”.

Wokoło wielkiego skupiska radości i zabawy, obok gór słodczy i owoców: pomarańczy, migdałów, oliwek, między stolkami z przeróżnymi smakołykami, wędlinami, bułeczkami, rogalinami, wśród straganów z upominkami, zabawkami, książkami — przewala się wesoły tłum, którego przeciętna wieku... waha się między 8 a 80 rokiem życia.

Po rozległej przestrzeni biegnie torem „prawdziwy” pociąg o „pionierskich” wymiarach. Na małym dworcu wielki ruch, poważnie regulowany, sprawny, choć gorączkowy. Twórcy kłemaszy pomyśleli o wszystkim: stoiska, to po prostu „cudeńka”. W przestronnych domkach (ba, nawet z pierników) mile i skrzętnie sprzedawczyńe radują oczy słodkimi czepeczkami, fartuszkami, koroneczkami...

Rozpostarto przestrzenne namioty, w których dorośli raczą się doskonałymi winami i piwem. Wśród bielszadników krąży sprzedawcy wielkiej loterii noworocznej. Los w cenie 50

szące się niemielszą frekwencją.

Jak dzień długi, do późnej nocy kręca się karuzele i „diabelskie koła”; małe koniki niosą na grzbiętach, rozbawione dziewczynki, rozpromienione malców, fikających nóżkami, piszczących z zachwytem. W specjalnym kiosku wydymuchawce szłyby popisują się swymi zdolnościami i na miejscu wydymuchują wazoniki, bombki, świecidełka, baloniki...

Jest jeszcze muzeum, którego ekspozycja, związana ze świątecznym okresem, uczy o tradycjach, tak pielęgnowanych w narodzie niemieckim. Widzimy tu modele zabawek z połowy ubiegłego stulecia, lalek i makiety pierwszych pociągów (Boże, jakie śmieszne!), dalej szyćchy i obrazy o tematyce noworocznej, dokumenty i stare annały, z których wynika, że już w 17 wieku chołata noworoczna uważana była za symbol pokoju i braterstwa wszystkich ludzi

Kilka dni temu kłemasz gościł młodzież z zachodniego



Tak wyglądał pomnik Adama Mickiewicza, stojący przed wojną na placu przy ul. Armii Czerwonej.

Oni dzisiaj czuwają

Godzina 12.07. Pociąg warszawski przystanął we Wrześni i mieszkańiec Szczecina, Maciej Pierzchliński zdecydował się przerwać dalszą podróż. Oko łzawi coraz silniej, fatalny węgielek uwłaził na dobre pod powieką. Pierzchliński zgłosił przerwę w podróż i spytał o adres pogotowia.

Gdy wchodził do schłodzonego domku przy ulicy Armii Czerwonej zadzwonił telefon. Godzina 12.25. Dyżurna dyspozytorka, siostra Czesława Szelągiewicza, wysoka blondynka o spokojnej, opanowanej twarzy podniosła słuchawkę. Zgłasza się Gutowo, odległe o 12 km. O pomoc prosi Henryk Rewers, urzędnik. W słuchawce podniecony kobiecy głos; temperatura 37,4°, ból gardła, silne kłucie w krzyżach.

Grymas zniecierpliwienia przeleciał przez twarz siostry. To klasyczny opis anginy; właściwie wypadek taki nie podlega pogotowiu. Skinięciem głowy wskazała krzesło mężczyźnie z przekrwionym i zapognionym okiem, który przed chwilą wszedł do dyżurki.

W tym momencie zaterkotał przeraźliwie drugi aparat. Tymczasem przyciszony głos z Gutowa perswadował: święto, lekarz daleko...

W drugiej słuchawce zdyszany głos mężczyzny zaciężył wyrazy z przejęcia. O pomoc alarmowała spółdzielni produkcyjna Kaczanowo. Dwuletni Andrzejek, syn spółdzielcy Józka, dostał silnych bólów brzucha. — Gorączka? — Gorączka wielka, ale jeszcze nie mierzona. Dzieciak rozpalony jak piec, brzuch obrzmiały i twardy jak drewno.

— Lekarz zaraz wyjeżdża! — krzyknęła siostra odwijając drugą słuchawkę z czołem zmarszczonym od namysłu. Jak zadysponować karetką? Powiatowa Stacja Pogotowia Ratunkowego we Wrześni nieczęsto przeżywa podobny natłok zgłoszeń w jednej, dosłownie jednej minucie. Zazwyczaj przeciętna ilość 10 wezwań na dobę rozkłada się równomiernie w czasie.

Decyzja zapadła natychmiast. O 12.26 Pierzchliński wszedł do gabinetu zabiegowego. Dyżurny lekarz w sekundzie zorientował się o co chodzi. Tymczasem siostra telefonowała już do garażu po Skodę.

Pięć minut później podróżny opuszczał masy domku pogotowia z opatrunkiem na oku, z którego usunięto raniący okruszek węgla. Do kieszeni chował receptę na krople do płukania. Nim zszedł ze schodków, furknęło auto; karetka pomknęła z lekarzem do chorego dziecka. Gutowo odłożono na później.

Jedna z przeszło dwudziestu

Srebrna smukła karetka z złotym krzyżem w czerwonym kole stała się w ostatnich czasach zjawiskiem nader zwyczajnym na szosach, drogach wiejskich i ulicach miast. Do kłuszenia chłopa receptę na krople do płukania. Nim zszedł ze schodków, furknęło auto; karetka pomknęła z lekarzem do chorego dziecka. Gutowo odłożono na później.

Placówka wrzesińska pod względem rozmiaru, wyposażenia czy ilości personelu ustępuje znacznie rozbudowanym stacjom w Kaliszu, Ostrowie czy Gnieźnie. Wielkość jej określa termin fachowy — półtorej karetkodoby. Znaczy to, że przez całą dobę dyżuruje pogotowie wypadkowo-chorobowe, a tylko w ciągu dnia pogotowie transportowe pakowny Renault, którym na zlecenie lekarzy przewozi się chorych do szpitala, w przypadkach istniejącej potrzeby.

Wyniki pracy tej niewielkiej stacji są jednak notowane bardzo wysoko, centony jest od powiedzialny, ofiarny styl tu-tejszej pracy.

We Wrześni, poza kierownikiem placówki, dr. Eugeniuszem Gofronem, w stanie czynnym tej odpowiedzialnej służby znajduje się czterech lekarzy, wśród nich współorganizator stacji i jej entuzjasta, popularny dr. Edward Tomaszewski, kierownik wydziału zdrowia Prez. PRN.

Wyniki warto zilustrować kilkoma ciekawymi wymownymi liczbami. W październiku br. powiatowa stacja pogotowia we Wrześni udzieliła ludności 280 usług. W liczbie tej kryje się 31 nieszczęśliwych wypadków, 144 na głych zachorowań, 70 przewozów

ciężko chorych, poza tym 34 usługi ambulatoryjne (zabiegi raczej drobne, najczęściej opatrunki).

Warto zdać sobie sprawę, że w tym samym październiku wojewódzka sieć pogotowia ratunkowego udzieliła pomocy w 11 000 przypadków.

Gdzie diabeł mówi dobranoc...

Praca w pogotowiu jest ciężka i wyczerpująca. Musi ono docierać do najbardziej zapadłych kątów własnego powiatu, obsługuje nadto w drodze pomocy sąsiedzką dzielność gromad powiatu średniego. Zapadłych kątów nie brak w powiecie Września. Wszak o wioskach położonych przy starym kaliskim trakcie mówi się żartobliwie, że leżą tam, gdzie diabeł mawia dobranoc. Droga do takich gromad jak Wróblewskie, Holendry, Ciemlewska Kolonia czy Dolne i Górne Grondy dała się nieraz we znaki kierownikom, lekarzom i noszowym, zwłaszcza jesienią, gdy zaczęły się roztopy i szarugi, lub zimą, gdy niskie łuki nad Wartą zasypie razem z drogami gruba pokrywa śniegu. Mała Skoda grzeźnie wówczas po osie i staje bezradna. Zdarzało się już, że lekarz i noszowy brnęli w śniegu 2 do 3 kilometry; zdarzało się, że chorego dowożono do karetki wozem lub saniami. A w innych porach roku nie ma kłopotu i zdenerwowania przy sparzu braku drogowych wskazówek na bocznych, nieuczęszczanych drogach.

A teraz o innych kłopotach

W dniu 6 listopada dyżurny lekarz wezwany do malej miej-

scowości pod Wrześnią, stwierdził zwykłe zakłucie igłą w palec. Poszkodowany sam wyciągnął wbiłą igłę przed przyjazdem karetki. Lekarz założył jedynie opatrunek. W przypadku lekkomyślnego nadużycia pogotowie żąda zwrotu stawek, które zresztą w nieznacznym tylko stopniu opłacają faktyczne koszty przyjazdu. Oplaty te mają raczej znaczenie wychowawcze. Zresztą każdorazowo tak lekarz, jak później specjalna komisja społeczna przy stacji przy podejmowaniu decyzji biorą pod uwagę sytuację wzywającego, jego warunki materialne oraz stopień jego świadomości. Gdy w opisanym przypadku lekarz zażądał od zainteresowanego, by podpisał odpowiednie zobowiązanie zapłaty, usłyszał:

— A po co wy jesteście? — i inne nieprzyjemne słowa.

Może teraz ów mieszkaniec spod Wrześni sam odpowie sobie na to pytanie...

W wyniku niejednego wyjazdu wykryto niebezpieczną dziurę w mostku, przyczynę złamania nogi, nieznane administracji budynku zepsute schody, czy utajone ognisko zaraźliwej choroby. Tam, gdzie pozwalają warunki, lekarze i pozostali pracownicy stacji, spieszą z pomocą, wykraczając poza ścisły zakres zadań pogotowia, zwłaszcza tam, gdzie lekarz rejonowy nie mieszka na miejscu.

Dlatego też wspomnianego świętecznego dnia siostra Szelągiewicza po wezwaniu karetki z garażu zapisała przypadek przypuszczalnie anginy w Gutowie. Gdy zaś lekarz odjechał do spółdzielni w Kaczanowie, gdzie czekało chore dziecko, wciągnęła do księgi biejącej zabieg na oku podróżnego ze Szczecina. Okazało się, że dłuższe pozostawienie oka bez po-

mocy mogło wywołać ciężką komplikację, a nawet pozbawić Pierzchlińskiego wzroku.

Telefon dzwoni w nocy

O 13.13 czyli 42 minuty później mały Andrzejek Józak był już w szpitalu. Dziecko miało powyżej 40° gorączki. Lekarz stwierdził zapalenie otrzewnej. W przypadku tak ciężkiego schorzenia zwłoka czyni chorobę nieuleczalną i powoduje zgon. Następnie karetka ruszyła do przebiegniętego urzędnika w Gutowie, zaś dyżurna dyspozytorka czekała przy dwóch telefonach, czujna na każde wezwanie ze świata. Raz po raz terkotały dzwonki. Na odległym krańcu Wrześni nastąpił ostry atak serca. W włosce ktoś spadł z bryczki i dotkliwie potłukł kolana. Posterunek milicji wzywał do wytrzeźwienia pijaka.

Rejestr pracowniczego dnia zamknął się dopiero nocą. O godzinie 22 zaterkotał przeciągle sygnał zamiejscowy. Dzwoniła kolej. Nocą większość prowincjonalnych central telefonicznych jest nieczynna. Droga do pogotowia wędrowała wówczas przez placówkę MO czy posterunki drożniaków kolejowych. Tym razem za pośrednictwem stacji kolejowej we Wrześni odezwał się przystanek Podstolice, odległy o 20 km. Dwudziestotrzyletnia robotnica Kazimiera Krzywdzińska spodziewała się laża chwila rozwiązania. Już po dwu minutach niezmordowana karetka ruszyła w drogę z połączoną Kowalską, zaś o 23.10 Krzywdzińska przyjęto na oddział Szpitala Powiatowego.

I tak jest codziennie. W zwykły dzień — i w święto.

L. P.



Starożytni Grecy byli narodem, obdarzonym dużym poczuciem zdrowego rozsądku. Kiedy spotkali się z wypowiedzią niedorzeczną, zwykli mawiać: „para doxan”, co oznacza „wbrew zdrowemu rozsądkowi”. Wrażliwi na tym punkcie, wyodrębnili z czasem nawet osobny przymiotnik: „paradoxos”, czyli — „sprzeciwiający się zdrowemu rozsądkowi”.

Później jednak epitet ten zaczyna nabierać nieco innego znaczenia.

Niewolnicy pracowali w pocie czoła, niańczyli i uczyli cudze dzieci, doglądali „krateńców z winem” dla umysłowej i zmysłowej podnieci swych panów, a panowie — zamiast nieznanego wiedzy bridża, wpadli z nudów na pomysł „zabawy w paradoksy”. Celowali w tym sofistów, wyszukując dla niedorzecznych twierdzeń pozorów prawdy. Nawet wielki Platon i Arystoteles musieli rzucić na szalę swe autorytety, by ten kunszt niebezpieczny poskromić.

„Plenus venter non studet libenter” — pełen żołądek niechętnie przykłada się myśli, oto jak mawiali rodacy Nerona. Sądźmy wszakże, że przedstawiając Czytelnikowi kilka skromnych paradoksów, urozmaicimy mu zasłużony wypoczynek podczas świąt. Darując sobie paradoksy starożytnych, przystąpmy do kilku bezpretensjonalnych paradoksów leżbowych.

Gdyby kulę ziemską opasać ściśle wzdłuż równika żelazną obręczą, a potem obręcz rozciąć i dodać dłuższe 20 m obręczy, to — po jej równomiernym odsunięciu



od równika — można by przechodzić pod nią, i to nawet z wyciągniętą w górę ręką.

Niemożliwe! — powiecie.

A no, sprawdźmy:

Obwód koła jest 3,14 razy większy od jego średnicy. — Obwód kuli ziemskiej wynosi około 40.000.000 m. Dzieląc tę liczbę przez 3,14, otrzymamy średnicę Ziemi, a więc i średnicę obręczy, leżącej wzdłuż równika. Po dodaniu 20 m. nowy obwód obręczy wynosi 40.000.020 m. Podzielmy to przez 3,14 i wtedy okaże się, że nowa średnica jest od poprzedniej większa o przeszło 6 m, a więc promień jej równa się około 3 m. Wystarczy dla człowieka nawet o znacznym wzroście?



Pan Kowalski odłożył w dniu 1 stycznia 1954 roku 1000 złotych, postanawiając sobie solennie każdego dnia następnego miesiąca odkładać zawsze połowę tego, co odłożył w poprzednim miesiącu. Otóż, gdyby nawet

żył wiecznie, nie odłoży nawet dwóch tysięcy złotych...

Dowód: Suma comiesięcznych wkładów, liczona ułamkami jednego tysiąca (1), wynosi: $1 + \frac{1}{2} + \frac{1}{4} + \frac{1}{8} + \frac{1}{16} + \frac{1}{32}...$ itd. Proponujemy przeprowadzić to dodawanie tylko do tego miejsca, a wniosek, że korzystniejszy byłby wkład na PKO, sam się narzuci.



Szerokość strony „Głosu Wielkopolskiego” wynosi około 30 cm. Przyjmując cztery takie strony na numer i nakład dzienny na 50 000 egzemplarzy (a jest on większy — przyp. red.) — mieilibyśmy przez niecałe 2 lata pracy wydawnictwa wyמושczony papierowy dywan naokoło całej ziemi...

Dowód, bardzo łatwy — zestawiamy Czytelnikowi.



Na imieninach u Norwackiego było łącznie z solenizantem 30 osób, między nimi profesor Liczydo. Gdy towarzystwo zbierało się do odejścia, profesor wystąpił z paradoksalnym zdaniem: „Ponieważ musielibyśmy wymienić aż 435 pożegnalnych uścisków dłoni, a w tym wiele niehygienicznych ucałowań rąk pań, proponuję rozjechać się z ogólnym „do widzenia”...”

Dowód: Wyobraźmy sobie, że do ceremonii pożegnania goście zostawili się w wierzchołkach wielokąta, liczącego tyle wierzchołków, ile jest osób. Pożegnania będą odbywać się po przekątnych i po obwodzie figury wzdłuż boków. Przedtem jednak musimy pamiętać, że w trójkącie z jednego wierzchołka nie da się wyprowadzić ani jednej przekątnej; w czworoku — jedną; w pięcioku — dwie; w sześcioku — trzy itd. (Ogólnie takich przekątnych z jednego wierzchołka jest zawsze o trzy mniej niż wierzchołków). — Z trzyciościoką można więc przeprowadzić 27 przekątnych. Z 30 wierzchołków byłoby ich oczywiście 30 razy więcej, czyli 810. Należy jednak tę liczbę podzielić przez 2, bo inaczej liczono by pożegnania podwójnie: A z B, a to byłby już zbyt uprzejmości. Dodając do otrzymanej w ten sposób liczby 405 jeszcze pożegnaną po „obwodzie” otrzymamy właśnie tę pozornie niewiarygodną liczbę aż 43. pożegnań...

Jeżeli te skromne przykłady dostarczą tematu w tedno ze świątecznych porośnię, zgodzimy się z pojęciem, że nie jest wcale tak jalone dla umysłu prowokować go do „paradoxy”. (WK)



Redakcja Audycji Regionalnych poznańskiej Rozgłośni Radiowej ogłosiła ostatnio Konkurs Regionalny na stare, mało lub wcale nieznane piosenki ludowe, przysłówki i toasty, wiaty i wierszyki, anegdoty i fraszki — słowem konkurs, który by wzbogacił nasze wiadomości o folklorze regionu, odkrył zapomniane piękno i urok zwyczajów zabaw i fet naszego ludu.

— Zaczęło się tak — mówi Stanisław Strugarek, redaktor tychże audycji i inicjator konkursu — że w okresie przed 5 grudnia jeździłem po całym województwie, rozmawiałem z wieloma ciekawymi ludźmi, niekiedy bardzo starymi, ileż to nieznanych nam zwyczajów ludowych pamiętają ci ludzie! I to stało się — cisnęło Strugarek — początkiem konkursu, który wkrótce po ogłoszeniu zdumiał nas liczbą nadsyłanych listów i osobistych zgłoszeń.

Zajrzyjmy do tej sterty kopert, niekiedy bardzo grubych. O, tu na przykład. Jakis podniszczony zeszyt. Przysłał go Stefan Wieczorek z Poznania, któremu kilkadziesiąt lat życia gęsto na družbowaniu po wesełach. W zeszytce spisane są wszystkie toasty i wesełne śpiewki. Wieczorek składając swój skarb, prosił by pilnowano tej pamiatki jak oka w głowie. Sam bowiem z ogromnym pietizmem strzegł w czasie okupacji swego zbioru, który zapewne teraz doczeka się ob szerniejszej publikacji.

Babcia Rauhutowa ze spółdzielni produkcyjnej Pławce w powiecie średzkim zgłosiła do konkursu 30 nieznanych piosenek, które ciche utrwały na taśmie przy wtorze wiejskiej kapeli. (a gra w niej aż trzech synów).

Kto to, dzieci, widział żeby tak tańczyć „wiwata”? Przed 50 laty tańcowaliśmy prawdziwego wiwata nie tok, jak o teraz dokazują po świetlicach. To żaden „wiwata”...

Piotr Gada z Włoszakowic zapowiada, że będziemy się mogli od niego jeszcze dużo nauczyć, jeśli chodzi o prawdziwy taniec ludowy.

W Spółdzielni Produkcyjnej Boguszyn (pow. Leszno) żyje sobie w zdrowiu 83-letni Krupka. To ci dopiero wartościowe odkrycie! Nam się zdawało, że wielkopolskie dudy są jakby na wymarciu. Gdzie tam! Krupka to jeden z ostatnich lutników, który do dziś buduje dudy, przekazując młodym wszystkim tajniki w konstrukcji tego instrumentu.

Niech no Strugarek przywiezie pocieszycielkę na smarowanie gardła, to mu tu zagrom,

a zaśpiewom, że ino nogi same bydom chodziły. Bo to jest jak w tej śpiwuce:

Kazali mi śpiwać
jo nie mogę śpiwać
darmo boli garło
trzeba je zaliwać.

Jest tych piosenek, pełnych humoru i dowcipu, jak ta:

Jak żem służył w Kobylinie
pożarły mi portki świnie,
rano wstaję — słońce wschodzi
a mój wieprzek w portkach chodzi...

...tak dużo, wśród nich tyle nieznanych, pociesznych, a niekiedy chłoszczących...

ty dziewczyno jesteś jak tyn Judosz
co chłop przyjdzie to ty mu dośz...

...że tylko zazdrościć mogą znawcy sztuki ludowej i folkloru.

Zresztą konkursem Strugarka zainteresowali się znani szperacze i wybitni fachowcy z tej dziedziny — że wymienimy np. Sobieskich, którzy dali znać z Warszawy, iż nie pomina najbliższej okazji by przyjechać do



Poznania dla przesłuchania zebranych materiałów.

Spieszą z pomocą Redakcji Audycji Regionalnych ludzie oddani krzewieniu sztuki ludowej, jak wielki jej entuzjasta Stefan Skorupiński z Włoszakowic. Założył on 12 śpiewaków ze swego zespołu pieśni i tańca do odtwarzania utworów przed mikrofonem

*

Być może, że oryginalne słowa i muzykę do przeryśnię, świeżo odkrytych piosenek przyswoimy sobie niebawem w nowopowstałym kabarecie literackim „Poznańskie Koziołki”. Następnym bowiem programem kabaretu przewiduje występ właśnie Stanisława Strugarka w rodzajowym numerze ludowym.

Ale o tym — potem...

T. H. NOWAK

Z GWIAZDOREM i POZNAŃSKICH KOZIOŁKÓW



Wiec ty, smyku, jesteś jednym z Poznańskich Koziołków?

Tyle lat odwiedzam Poznań i ni czego podobnego jeszcze nie widziałem! Cóż to właściwie jest ten

wasz kabaret literacki?

— Piekielek, gdzie smażyłby niepoprawnych grzeszników w ogniu dowcipu.

— Ohoho... i ludzie do tego piekieleka zstępują dobrowolnie?

— Owszem... w roli widzów, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie mój się o nich...

— I jaka jest reakcja publiczności?

— Jak rękę.

— Taka żywa?

— Nie, taka piorunująca. Profesor Szmatławczyk...

— Kto to taki? Nigdy jeszcze nie byłem u niego z podarunkiem.

— To niepopularny bohater popularnych felietonów Putramenta w „Przeglądzie Kulturalnym”, nasz prezes humoris causa. Otóż profesor, który pracuje obecnie nad aktualną pracą pt. „Uśmiechnięto i zahumorystycznienie mas pracu-



jacych w czasokresie wolnym od zajęć produkcyjnych” — zapytany co sądzi o powstaniu tego rodzaju estrady satyrycznej w Poznaniu, dał odpowiedź zupełnie taka sama, jak niektóre koła w tym mieście: ani be, ani me.

— Profesorowi nie należy się dziwić.

— Tak, ostatnio ma poważne kłopoty. No cóż, ustawiał się wilk razy kilka — wystawili i wilka...

— Zdaje się, że aby przedzierzgać się w Koziołki, musieliście być uparci.

— Jak... koziołki. Ale grunt, że osesek się urodził i głośno krzyczy, a także wzorem osesków szybko rośnie. I trzeba się liczyć z tym faktem! — jak powiadała poznaniacy, patrząc na okrągłak PDT.

— Mnie tam ten wasz Pedet zaczyna się coraz więcej podobać. Przypomina mi borowika w lesie...

— Są poeci, którzy piszą ody na jego cześć. Oto próbka:

W sercu Poznania
wykwita
bukiet budowlanych herezji,
niesamowita bania —
szkoda, że nie poezji...
Co za architektura
pomura!
Za to — bez kantów:
kolosalna owalność —
podziwiam projektantów
okrągłą kuku na monu-mentalność!



— Jednakże wy ogromnie przesadzacie.

— Trochę istotnie przesadzamy. Na przykład informacja telefoniczna 03. Atakuje się pocztę za to, że ten numer jest ciągle zajęty. A to przesada. 18 października o godzinie 5.17 rano informacja 03 była wolna przez całe 10 minut.

— A widzisz!

— Wprawdzie w ciągu tych 10 minut nikt nie podchodził do aparatu, ale zawsze. To samo z „Ruchem”. Ludzie skarżą się, że dostarcza gazety co trzeci dzień. A zapominają o tym, że chociaż „Ruch” istotnie dostarcza niekiedy gazety co trzeci dzień, ale za to trzy jednocześnie.

— Powiedz no, smyku, o czym wy tam w kabarecie mówicie?

— Właśnie o tym. Albo o kółkach.

— Niemożliwe! Tu u was w Poznaniu są jeszcze dzisiaj kobiety z kółkami na głowie?

— Nie, ale w głowie, to częściej można jeszcze spotkać.



I na koncertach Filharmonii w dość sporej widoc ich ilości, niejedna wtedy głowę kłoni — nie z rozmarzenia, lecz z... senności. Krewniaczki Dulskiej, wnuczki, córki, wypindaczone śmoki—fioki, grzebiące w błotku mani-kury, gładzące plotką kwi-pro-kwoki!

— A ze skargami do waszego piekieleka przychodzą, co?

— Oczywiście. Na przykład ostatnio przyjechał do nas pewien obywatel aż ze wsi. Ze skargą na wybory w jego gromadzie.

— I co, zażalenie słuszne, czy nie?

— To już zostawiamy do rozstrzygnięcia publiczności, która ma możliwość usłyszeć całą historię i to z ust poszkodowanego.

„bratanek Kaczmarska, to raz w nocy wioził kłose drzewa z lasu. Noc ciemna, myśle, jeszcze się co stanie, nie daj Boże. Skapina nogę może sobie złamać, obladowana takimi ciężarami. Więc kiedy przejeżdżał obok



mojej chaty, zatrzymał go i mówił: zrzuć mi tutaj parę kłose na podwórko, bo ci za ciężko. Słowa nie powiedział, tylko zrzucił. Strasznie mi się robi, jak widzę cudze nieszczęście. Taki już jestem. Ludzki człowiek, chociaż soltys. I — nie wybrał...

— Toż wy tam urządacie prawdziwy teatr!

— Nie, z prawdziwymi teatrami jest w Poznaniu nieco inaczej. Zwierzał mi się niedawno poważny aktor dramatyczny: „Kiedy gram, mówię, widzę tylko rolę, publiczność znika mi sprzed oczu”. I faktycznie — znika. Ale publiczność poznańska nie zawsze znika. Kiedy idzie rzecz mocna artystycznie, jak na przykład „Domek trzech dźwięczat”, to idzie, idzie, idzie, idzie... Żeby woda tak szła w rurach poznańskich wodociągów!

— Hm, więc śmiech u was jest, a — pożytek?

— Łączymy przyjemne z pożytecznym. Na przykład w środku programu urządzamy seminarium szkoleniowe.

— To niemożliwe!

— Oczywiście — zamknawszy uprzednio drzwi wyjściowe. Seminarium w zakresie dramaturgii. Wzorem niektórych seminariów i my dyskutujemy na temat, co by było, gdyby... Fredro napisał „Zemle nr 2” w 100 lat później, czyli współcześnie. Obywatel o nazwisku Cześnik Kłóciłby się z sąsiadem dyrektorem Rejentem o u-

żywalność wspólnego hallu w willi, a świetlicowy Babkin...

BABKIN

Piękny punkt. Czy nakaz w rękę?

CZEŚNIK

Tak, lecz przyjmij to do głowy: wille dwie mają połowy. W drugiej zaś — dyrektor miazga z Franowa, wiesz, spod Poznania. Bardzo grzeczny, miły — z wierzchu, a pod spodem — kawał drania. Nie ma dnia bez sprzeczki, szkody, a to nie zakreśli wody, a to światło wyłączy, to znów schody smarem plami, lub z motorem niezgaszonym trzyma auto pod oknami.

BABKIN

Phi — sam miałem aut ze cztery, słowo daję — i sam innej bym przyszłości czekał dzisiaj, lecz w ankiecie haczyk mały — tata feudal, auta, służba, wielkie włości, rauty w nocy, rano giełda — haczyk trzyma...



CZEŚNIK

Bujaj gości! Twój życiorys znam, mój synku, tata knajpę miał na rynku. Teraz rzeź w tym, mój filucie, Rejenta trzeba ukrócić!

BABKIN

To ukrócić.

CZEŚNIK

A mądrała — w cieplej wodzie wykąpany! Lecz przeszkoda nie pozwala: on jest u s t o s u n k o w a n y. Tutaj szepnie, tam coś powie — Już bratku wziął po głowie. A zawzięty! Nie daruje on nikomu. Ty spróbujesz. Sposób w głowie mam gotowy: pójdziesz doń jako — blokowy! Ktoż z nas, weź pierwszego z brzegu, widział swego blokowego?...

— Duże zmiany zastąpiam w tym roku w kulturalnym życiu Poznania. Nie widzę profesora Waleriana Bierdiajewa.

— Tak, ale publiczność pozostaje, życie toczy się dalej, trzeba śpiewać. „Uprowadzenie Waleriana” — to właśnie tytuł i treść nowej opery ze starymi melodiami. Wystawiamy ją u siebie dla tych spragnionych dobrego śpiewu słuchaczy, którzy — mieszkając w Poznaniu — nie mogą nabyć biletów do Opery, rezerwowanych, jak wiadomo, dla wycieczek zamiejscowych.

CARMEN:

Poznań z Operą ma dziś wielki kram, tam tam taram, tam tam taram, bo Bierdiajew już z poznańskich bram zniknął nam i już jest tam — w Warszawie pulpit ma i w „Romie” gra — igra, igra, co dnia!



RIGOLETTO:

Warszawa cała z zazdrości mdlała, serce podbiły poznańskie siły. Dziś lekarstwo dobre bierze zakochana... operowe krople Waleriana.

— A co robi między Koziołkami niejaki Derwich? Przecież to ry-sownik.

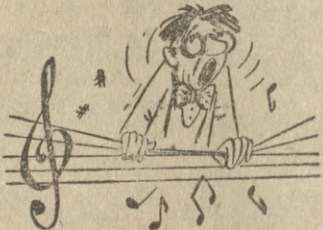
— To samo, co tak zwane kocia-ki: obmalowuje bliźnich. Z tą różnicą, że nie za oczami, a na oczach publiczności. Jeden z nie-licznych w Poznaniu ludzi, którzy załatwiają od ręki.



— A śpiewu trochę u was jest?

— Jest. Bez ważkich i trzonowych problemów śpiewactwa, program nie spełniałby postulatów tak zwa-nego całokształtu i profesor Szmatławczyk odradzałby go nam jako nie wyważony. Toteż referat działacza na szczeblu powiatowym szczęśliwie zapełnia tę dotkliwą lukę.

...wspaniała jest historia pieśni na przestrzeni minionych epok. Przy pominięciu choćby okres wspólnoty pierwotnej, kiedy to pierwsza w dzie-jach pieśń masowa łączyła ludzi w polowaniach na ichtiozaury. W systemie feudalnym pieśń nie była do-stępna dla dołów, lecz dla feudołów. Z kolei kapitalizm zadał jej straszliwy cios, zagarnawszy w swe krwio-żerzce łapy środki produkcji nut i instrumentów muzycznych. Koledzy



po kluczu wiolinowym! Mamy za sobą poważne osiągnięcia. Liczba śpie-wających w poszczególnych gminach wzrosła o trzy przecinek siedem raza w stosunku do stanu sprzed pierw-szej wojny napoleońskiej. Nuci dziś każdy: księgowy przy liczydło, oracz idący za sochą, czy pracownik etato-owy „Artosu”. Rozprowadziliśmy w terenie wiele fachowej literatury, tak potrzebnej w pracy samokształ-ceniowej śpiewaków, m. in. książkę Fiedlera „Ryby śpiewają w Ukajali”. Braci śpiewaczu! Śpiew naszego po-wiatu ma przed sobą wielką przy-szłość. Trzeba tylko więcej niż do-tychczas związać się z życiem i za-rządkiem powiatowym. Trzeba się uczyć, aby umieć odróżnić bemol od krzyżyka, a kasownik od — Panu-fnika!

— No tak, coś nie coś już teraz o waszym trykaniu wiem. Tylko powiedz mi jeszcze jedno: po co wy to wszystko robicie?

— Jakto — po co? Satyra jest dźwignią i pomaga w realizacji na etapie.

— Dobrze, dobrze, czy możesz mi przytoczyć przykład, że krytyka Poznańskich Koziołków pomogła?

— Oczywiście! Krytykowaliśmy na przykład, że do Prezydium MRN w Poznaniu trudno się dostać, bo w sekretariacie siedzi przystojna brunetka i nie wpuszcza.

— I co?

— I przystojna brunetkę prze-niesiono gdzie indziej.

— Na prawdę?

— Tak, a jej miejsce w sekreta-riacie zajęła ładna blondynka...

— Hm, pierwsza gwiazda już błysnęła na niebie, czas wręczyć wam tradycyjne podarki.

— Podarki dla Poznańskich Koziołków? Jakże?

— Lupa, żebyście dokładniej wi-dzieli i osekła do ostrzenia dowci-pu. Bo widzę, że chceci wam nie braknie.

Rozmowę
przeprowadził:
Zygmunt Jaski
Fragmenty
tekstów:
W. Deglera,
Z. Jaskiego,
J. Mikołajczaka
i T. H. Nowaka

Rys. H. DERWICH

